№ 25 WARSZAWA, DNIA 21 CZERWCA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

— Klin klinem — rzekł szlachcic, który słuchał, nic nie mówiąc. — Prawią nam heretycy, co o piśmie świętem rozumieją, powiedzcież co i wy, księża, miasto milczeć uparcie, jak ten obraz, któremu czyli kadzisz, czyli... nic, jednako na cię spoziera, a do powiedzenia nic nie ma.

— I mnie się tak widzi — powiedział mnich, ostrożnie mierząc słowa. — Przyszedł-li czas, gdy wszystko, jako widzim, w mowie pospolitej się drukuje i czyta, nie należy też i Pisma świętego na ostatek za szańcem zostawiać. A daleko większa z tego zda mi się być korzyść, niźli szkoda: niemasz bowiem pewnie na świecie żadnego, ani tak głupiego, ani niezbożnego człowieka, któryby, czytając Pańskie słowa, a rozmyślając wielką dobroć Jego, poruszyć się a odmienić ze złego w dobry nie musiał. Tak, iż co inne nauki sprawują człowieka, sposobnego ku pojęciu cnoty, to nauka boża sama cnotę wlewa.

— Iście — rzekł Paweł. — Więcej nauki nigdy ku szkodzie nie bywa. Nie jest-li człowiek z natury swej słaby, a owym złym a ponurym kumom chętny, jako są gniew, zawiść, pycha? Samo jeno ćwiczenie dobre, nauki piękne, rozmyślanie rzeczy boskich, pięknych a prawdziwych,

z tych go mroków a niechlujstwa dusznego podnosi, jakoby na skrzydłach gołębia, ku wysokości a jasności dobrej.

— Pycha!—zawołał ksiądz, miotając się i trzęsąc obu rękami ku tamtym. — Pycha i nic więcej! Dość nauki, gdy umieją dziesięcioro przykazania i modlitwy główniejsze; mówię to i powtarzam. Djabelski jeno wynalazek są owe nauki, czartowskim czarem napełnione! A chcecie ichmość wiedzieć—dodał ciszej, opierając się obu rękami o stół i wyciągając się ku nim cały—chcecie wiedzieć, to wam i to jeszcze powiem: gorzej jest, niż wszystko inne, gdy się onej świeckiej mądrości duchowni chwytają, czas trawiąc na rozprawach o rzeczach pogańskich, owych bogów, a w samej rzeczy czartów straszliwych, jak Jupiter, Mars, Merkuriusz, Wenus, Wulkanus wspominając, djabelskiemi się sztukami bawiąc, alchimją i inszemi. Tego zaś widzimy pełno powszędy w tych naszych czasiech nieszczęśliwych: jak i wśród kapituły naszej krakowskiej między kanonikami...

— Nie mają owi pogańscy bogowie onej cnoty ani siły, którą im waszmość przypisujesz — rzekł Paweł. — Podobniejsi są do onych kwiatów zaschłych, co je niewiasty do swych modlitewników kładą. Kiedyś tak kwitli w rozumieniu ludów swych starodawnych. Dzisiejszych dni, czytając pisma nieprześcignione Greków i Rzymian, dziwujemy się jeno owej zmyślności ich a dowcipowi, co tyle bogów, nimf, faunów nastwarzał, jakoby bajkę sobie samemu bając.

— Niebezpieczna jest z takiemi imionami igrać—rzekł ksiądz ponuro, podnosząc rękę groźnie — prawie jakoby mocy piekielnych i ich księcia wzywając, który tylko czyha, by się ku nam przybliżyć a zadomowić jako mógł. Wymieść to trzeba, a do czysta, i nie żałowałbym i pół grzywny dać, by chłopów nająć, którzyby rózgami owe nauki bezbożne wrychle naszym kanonikom z głowy wybili. Co powiedzieć na proboszcza od Wszystkich Świętych, kanonika Czarnkowskiego, bogacza, albo-li na referendarza koronnego, kanonika Uchańskiego? Nie siedzi-li ksiądz Czarnkowski nad księgami, których dobry chrześcijanin nie pojmie, a ksiądz Uchański nie bywa-li w domu pana Trzecieskiego, gdzie się owi uczniowie Erazma Roterdamczyka zbierają, Bernard drukarz, Frycz-Modrzewski, wójt wolbromski, Łaskich domowy, inni co najgorszej myśli?

— Ba! — odezwał się szlachcic, zbierając parę książek, które sobie wybrał — wszystko ci źle, księże Walenty, jakby ci zając drogę przebiegł, albo też i baba z pustemi wiadrami.

Ksiądz Walenty zżymał się, słuchając, i zaraz odrzekł:

— Księgi wszystkie na stos i spalić. A wtedy stara cnota wróci. Inaczej...

— Hola, hola, jegomość! — zawołał szlachcic.— Dobry to sposób na tych, co o sobie nic radzić nie potrzebują, jako owi poddani tych różnych książąt moskiewskich, suzdalskich — a kto ich spamięta! Nie na obywateli wolnych w swej rzeczypospolitej, jako jest nasza. Patrzajże wasze, do czego rodzi się z nas każdy, dziedzicem praw i swobód swoich ojców będąc: owo ku mądremu onych praw używaniu, a dopełnianiu; ku usuwaniu starych, gdy precz poszły z obyczajami dawnemi, a stanowieniu nowych, gdy nowe zwyczaje nowemi prawy rządzić się mają. Co nic nie jest innego, jeno rzecząpospolitą rządzenie: a jakże do rządów owego ciemnego a sprosnego pachołka weźmiesz, co nic nie zna, jeno swoje a sąsiadów swych miedze i drogi, a daleko mu radziej na woły hukać, niźli do współobywatelów swych, braci szlachty, k'rzeczy i mądrze przemówić, albo

od nich co dobrego usłyszeć? A jeszcze dziś, gdy prawa, przez różność czasów, w których je dawano, tak są splątane, że często jedno to pozwala, czego drugie pod infamją zakazuje. Któż je rozplącze? Któż je w porządny ład złoży, co złe wygładzi, co dobre wzmocni, nowymi wesprze, jeśli nie synowie tej Korony, dobrą nauką do dokonania tych prac przygotowani?

Hieronim słuchał go uważnie: to się ty-

Wtem wszedł Mikołaj z książką dla księdza. Ten wziął, zapłacił i wyszedł, nic już nie słuchając, co jeszcze mówił Dominikanin.

Teraz i ten zebrał się i wyszedł, zamieniwszy jeszcze słów parę po cichu z mistrzem Pawłem i Mikołajem.

— Jeśliby taki był duch w innych, jako w księdzu Walentym, to nie wiele dobrego—zaczął mistrz Paweł-- dla naszego przedsięwzięcia...



... Jeśliby taki był duch w innych, jako w księdzu Walentym, to nie wiele dobrego ..

czyło i jego. I on był do tego zrodzony i powołany, ale ani nauczony, ani dotąd uczyć się zamierzał. Nagle zupełnie innym mu się wydał kraj szeroki, żyzny, swobodny, który znał. którego drogami chodził, którego każdą wieś, las, rzekę miał w wiernej pamięci. Rządzić nim trzeba, rozumieć, znać wszystko, co kieruje i w kupie trzyma mieszkańców wszystkich. Teraz inaczej mu się wydało znaczenie każdej rzeczy: Krakowa, drukarni, gdzie siedzieli, ludzi, którzy przy nim rozmawiali, służby wojennej, którą brat pełnił, podatków, które Marcin płacił.

Ale Mikołaj nie słuchał go: z nagłym niepokojem utkwił oczy w Hieronima, jakby dotąd zapomniał o jego obecności w ciemnym kącie sklepu.

— Studencie —rzekł— słyszałeś, o czemeśmy radzili w tylnej izbie?

Hieronim cały poczerwieniał, wstał. Patrząc drukarzowi prosto w oczy, odpowiedział z miejsca:

— Słyszałem!

Mikołaj ruszył ręką bezradnie, zwracając się ku Pawłowi: Mistrz Paweł też był stropiony.

— Nie możesz ani przypuszczać — po-

wiedział do Hieronima — jaką te rzeczy dla niektórych mogą mieć wagę. Jeśli tedy...

— Jam nie zdrajca—rzekł Hieronim — ani szpieg. Słowo szlacheckie mogę wam dać, że o tem, com słyszał, nikt się odemnie nie dowie.

Widział, że to ich trochę uspokoiło, ale stali obaj ze spuszczonemi głowami, myśląc.

— By mnie i ogniem palono! — rzekł Hieronim.

Mikołaj się uśmiechnął, mistrz Paweł także.

— Scholarzy nie palą — rzekł Mikołaj.

— Wszystko jedno—powiedział Hieronim.—Macie moje słowo.

(D. c. n.).



PURPUROWE PŁOMIENIE.

OPOWIADANIE PRAWDZIWE

przez J. P.

Ciąg dalszy

Bez chwili zastanowienia jednym skokiem rzucił się z pokładu w nurty i zaczął płynąć, posuwając się naprzód silnemi ruchami.

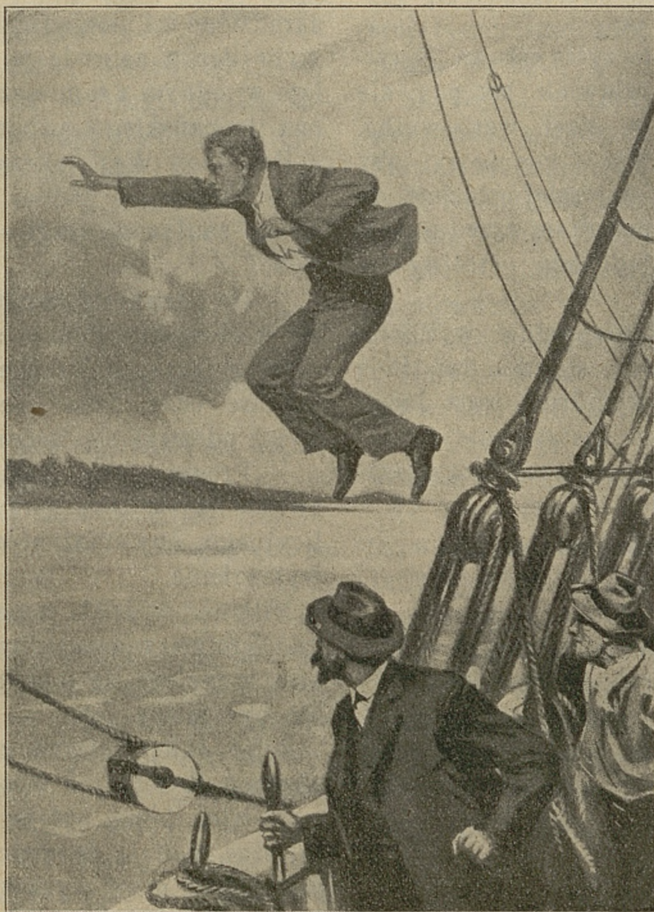
Kapitan wpadł we wściekłość, nie można jednak było natychmiast zatrzymać statku, idącego pełną parą. Przez ten czas Robert odpłynął tak daleko, że już go i widać nie było.

Po godzinnem płynięciu poczuł ogromne zmęczenie. Kilkakrotnie przewracał się na wznak, aby wypocząć. Zmoczone ubranie oblepiało się i tamowało mu ruchy, tak że musiał wyzbywać się go częściowo.

Gdy wychylał głowę z wody, brzeg wydawał mu się odległym o kilkadziesiąt kroków, lecz było to tylko złudzenie, spowodowane przezroczystem powietrzem i słońcem. Już płynął dwie godziny, a nie czuł jeszcze gruntu pod nogami. Ręce i nogi poczynały mu drętwieć, wykonywał jeszcze machinalnie pływackie ruchy, ale te były coraz słabsze i słabsze. Opanowało go śmiertelne wyczerpanie i obojętność na wszystko, chwila jeszcze a poszedłby na dno. Nagle uczuł, iż nogi jego dotknęły ziemi. Była to mielizna piaszczysta, naniesiona prądem Missisipi, która się wrzynała daleko w zatokę. Dopłynąwszy do brzegu, rzucił się jak nieżywy na miękki

piasek i usnął natychmiast snem kamiennym.

Obudziwszy się, zauważył, że musiało być już po południu; głód zaczynał mu dokuczać, przytem w gardle mu zaschło zupełnie.



.... Bez chwili zastanowienia, jednym skokiem rzucił się z pokładu w nurty...

Poszedł wzdłuż brzegu, okryty dziwacznemi szczątkami ubrania, upatrując ludzkiej siedziby. Delta Missisipi rozpościerała się przed nim gładka, rozległa i jak wymarła. Położenie Roberta było nie do pozazdroszczenia: wlókł się pod palącemi promieniami słońca prawie nagi, zgłodniały i spragniony. Brzeg, jak okiem sięgnąć, przedstawiał pustynię bez kawałeczka cienia. Dążył więc tak młody marynarz do głównego łożyska Missisipi, dobywając resztek sił. Pod wieczór dopiero trafił na ślad ludzi

Kilku rybaków, zarzucając na rzece sieci, zauważyło jego rozpaczliwe ruchy i po długich prośbach zgodzili się wziąć go z sobą do łodzi. Robert, pokrzepiwszy się nieco chlebem i wódką, które mu rybacy ofiarowali z litości, prosił ich, aby go zawieźli do fortu Jacksona.

Zdumienie Karola Wernera nie miało granic, gdy późno w nocy ujrzał stojące-

go przed sobą Roberta w tak dziwacznym stroju. Gdy młody marynarz opowiedział w krótkich słowach swoje przygody, towarzysz jego zamyślił się chwilę, a potem rzekł:

— To jest jakaś nieczysta sprawa. Sprytny, zdolny młody człowiek, jak pan, nie wpada tak łatwo w sieci werbownika. Pożyczę panu ubrania i pieniędzy. aby pan mógł jutro jak najraniej pojechać do Nowego Orleanu i stawić się przed panem West. Bądź pan jednakże ostrożny na przyszłość.

— Nie mogę sobie zupełnie wytłómaczyć wypadków dwóch ostatnich dni, Boję się bardzo ostrych wymówek pana Jacka West, że nie byłem dostatecznie ostrożnym. Dziękuję panu serdecznie za okazaną mi pomoc,—dodał Robert.

Podoficer milicji nie chciał słyszeć o żadnych podziękowaniach.

— Na obczyźnie—rzekł przyjacielsko—powinniśmy wzajemnie pomagać sobie. Ale teraz udaj się pan na spoczynek.

Gdy tylko pan Jack West otrzymał wiadomość, że jacht jego przybył już do zatoki i tam zarzucił kotwicę. zawezwał natychmiast Roberta Molskiego. Dan wzruszył ramionami.

— Doręczyłem temu Polakowi większą sumę pieniędzy, aby poczynił zakupy; do tej pory jednak jeszcze nie powrócił.

— Bardzo jestem z tego niezadowolony — odrzekł Jack West. — Bob nie zna Nowego Orleanu, a kręci się tutaj dużo złych, nieuczciwych ludzi.

Gdy Robert nie powrócił i następnego dnia, miljoner zaniepokojony, rozkazał policji szukać go. Wszelkie usiłowania były jednakże bezskuteczne.

Dan tryumfował, gdyż wszystko działo się według jego życzeń. Jakież było jednak jego zdumienie i osłupienie, gdy w dwa dni po zniknięciu młodego marynarza zawezwany do Jacka West, zastał tam Roberta.

— Wszystko to stało się tak, jak panu opowiedziałem i jestem gotów zwrócić skradzione mi pieniądze. Otrzymaną w Nowym Jorku nagrodę po pożarze umieściłem w jednym z tamtejszych banków i jest ona do pańskiego rozporządzenia.

Pan Jack West potrząsnął głową.

— Niepojęte! Danie, — zwrócił się do swego zaufanego sługi, — do kogo posłałeś Boba?

— Do pana Goldszmidta, który jest słynny w Nowym Orleanie znawcą win — odrzekł Meksykanin uniżenie.

Szare oczy pana West zabłysły, gdy wtem odezwał się Robert:

— Proszę pana bardzo o pozwolenie zwrócenia się z tą sprawą do urzędu policyjnego, aby można otrzymać zupełne wyjaśnienie.

Miljoner widział jasne niebieskie oczy młodego marynarza utkwione w siebie z takim spokojem, że o podejrzeniach nie mogło być mowy.

Żółte oblicze Dana zmieniło się przy słowach Roberta na woskowo-białe.

— Nie, Bobie, byłoby mi nieprzyjemnie mieszać policję do moich spraw; zresztą jutro jacht musi wyruszyć.

Meksykanin odetchnął, jak oswobodzony od wielkiego ciężaru i rzekł szybko niepytany:

— Wina wypróbowane przez pana Goldszmidta nadeszły na czas, tylko że musiałem powtórnie zapłacić sumę, wręczoną panu Molskiemu.

— Wiem o tem bardzo dobrze i nie lubię słyszeć jednej i tej samej rzeczy, dwa razy powtarzanej, — odparł ostro Jack West.

Na skinienie jego ręki, Meksykanin wyszedł.

— A co do ciebie, Bobie—ciągnął dalej miljoner—nie włożysz już więcej ubrania

jachtowego. Może to było powodem twojej przygody.

— Panie! — wykrzyknął młodzieniec ze zdumieniem — pan mnie chce nadal obdarzać swojem zaufaniem?!

— Naturalnie, Bobie, — odpowiedział dobrotliwie pan West. — Drugi raz już dowiodłeś, że umiesz odpowiednio postępować. Dzisiaj jeszcze udaj się na mój jacht.

ROZDZIAŁ IV.

Dookoła przylądka Horn.

„Wolność” kołysała się lekko na błękitnych wodach zatoki.

Kapitan Samuel Law i sternik Higginson stali na pokładzie i spoglądali na zbliżające się czółno.

— Pan Jack West ma przecież przybyć dopiero jutro, — rzekł kapitan. — Higginson, dajcie mi jeszcze raz lunetę, chcę zobaczyć, kto siedzi w łódce. A do tysiąca rekinów, przecież to jest szczur lądowy. Co ten ma za interes na naszym jachcie?

Po kilku minutach czółno zatrzymało się przy jachcie, a siedzący w nim młodzieniec wyskoczył lekko po schodach na pokład. Stając przed kapitanem, rzekł krótko:

— Jestem Robert Molski z Gdańska. Pan Jack West przysłał mnie tutaj.

— To pan jesteś tym młodym człowiekiem, który odbył piekielną powietrzną podróż przy pożarze w domu Parker'a?

— Tak, ja nim jestem, kapitanie! — odparł skromnie młody Polak.

— Nie spodziewałem się nigdy zobaczyć marynarza w tem ubraniu szczura lądowego. Pan Jack West nie zawiadomił nas, czy pan będzie należał do służby okrętowej, tymczasem więc jest pan jeszcze zupełnie wolny.

Kapitan i sternik byli mocno i dobrze zbudowani; z pierwszego wrażenia sądząc, musieli w zupełności zasługiwać na zaufanie właściciela statku. Przeniesiono tymczasem rzeczy Roberta z czółna na pokład jachtu, i Higginson zwrócił się do niego ze słowami:

— Oto pańska kajuta, panie Molski.

Następnie zaś wdał się z młodym marynarzem w dłuższą pogawędkę.

— Czy był pan majtkiem na statku „Persja”, panie Molski? Dawano wam tam ster do ręki?

— Naturalnie! jestem w sterowaniu dobrze wyszkolony, aczkolwiek nie mam jeszcze dyplomu. Przypuszczam, że będę mógł wam być pomocnym.

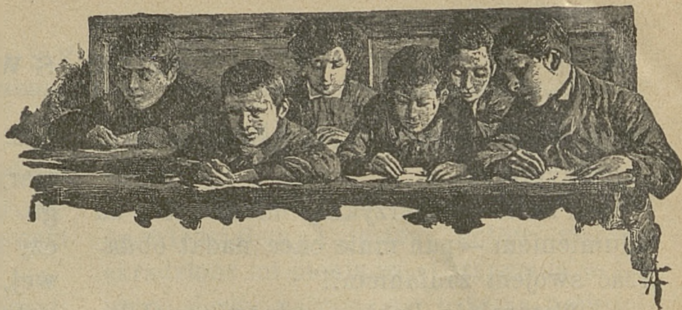
— Well*) — odrzekł spalony przez słońce wilk morski. — Zdaje mi się, że nareszcie pan Jack West zrobił dobry nabytek. Wy jesteście Polakiem, a ja Amerykaninem, ale mam przeczucie, że w złej czy dobrej doli zrozumiemy się.

To mówiąc, wyciągnął ku niemu dłoń, którą młodzieniec uścisnął z zapałem.

Podczas gdy załoga jachtu pracowała nad doprowadzeniem go do porządku przed przyjazdem pana West, Robert wdrapał się na szczyt masztu, aby rzucić okiem na przestrzeń, tak niedawno przebytą wpław.

*) Dobrze.

D. c. n.



Marja Buyno.

KOLEDZY.



Ciąg dalszy.

— A jednak powiedz prawdę, matuś: ty go także nienawidzisz?

— Nie! Boleję tylko bardzo, że nie mogłam cię uchronić od tych przejść. Czemuś ty, chłopcze, nic mi o tem nie mówił?

— Nicby to nie pomogło, a nie chciałem cię martwić.

— Drogie, kochane dziecko! Przyrzeknij mi, że na przyszłość nigdy nic przede mną nie zataisz, szczególniej, gdy będzie chodziło o twoje zmartwienia, przykrości!

— Dobrze, matuś! O, ty nie masz pojęcia, jak to ciężko mieć przed tobą tajemnicę!

— Nie będziesz ich miał już nigdy, nieprawdaż?

Pierwsze krople przykrego, zimnego deszczu padły im na czoła.

— O, deszcz! Trzeba wracać!

Szli szybko z powrotem, nie mówiąc już nic ze sobą. Oboje byli za bardzo wzburzeni, by mówić o rzeczach obojętnych. Michaś drżał jeszcze, wspominając ciężkie chwile, które przeżywał; matka nie mogła sobie darować, że pozwoliła tuż obok siebie cierpieć swemu ukochanemu dziecku, nie odczuwszy, co się w niem dzieje.

W domu zastali dr. Ksawerego, który przywitał ich gderaniem:

— Śliczne sprawowanie, niema co mówić! W taką pogodę używać spaceru i to bez obiadu! Jak tak będziemy robić, znów się do łóżka położymy. Pokaż-no mi się, chłopcze. Coś mi nietęgo wyglądasz. Drżysz cały, zziębłeś czy co?

Nie na żarty zaniepokojony, dr. Ksawery oglądał Michasia, badał puls, dotykał głowy.

— Co mu się stało? — zapytał, zwracając się do matki.

— Mieliśmy rozmowę, która nas bardzo wzruszyła! — odparła pani Strzemboszowa.

— O, to rzeczywiście będzie z wielkim pożytkiem dla Michasia! — mówił doktór na dobre już zirytowany.

— Panie doktorze! Musiałem to wszystko powiedzieć prędzej, czy później. Teraz będzie mi zupełnie dobrze! Zresztą jestem doprawdy zdrów zupełnie.

Powoli doktór Ksawery udobruchał się i zaczął rozmawiać z ożywieniem, opowiadając o swoim nowym chorym, podczas gdy Michaś w drugim pokoju odrabiał lekcje.

— Nie dał się! — kończył opowiadanie, śmiejąc się radośnie, jakimś jasnym, dziecinnym prawie śmiechem, który odmładniał dziwnie jego pomarszczoną, starą twarz.

— Doktór robi cuda! Jego energji, dobroci i wierze ileż matek zawdzięcza swoje dzieci! — rzekła gorąco pani Strzemboszowa.

— O, o, o! — bronił się staruszek. —

Zaraz cuda! Traf, szczęśliwe zrządzenie opatrzności, to i wszystko!

— Nie trzeba być zbyt skromnym! Trzeba pozwolić na okazanie wdzięczności tym, którzy mają serce nią przepełnione. Doprawdy, niema słów, któreby mogły wypowiedzieć, ile wdzięczności mam dla pana!

— O, o, o! Za co znowu? Lecząc, wyleczając, ratując, sam przedewszystkiem mam dużo przyjemności! Proszę mi wierzyć.

— A dalsza pańska opieka! Doprawdy, wzruszona jestem, że przy tylu zajęciach miał doktór czas myśleć o nas...

— O, to już lekka wymówka, i słuszna nawet. Rzeczywiście, zapomniałem o was, a raczej nie miałem czasu pamiętać! — mówił żywo, widocznie zakłopotany.

— Poco doktór chce się zapierać? Wyratowawszy mi dziecko, pomyślał pan, bym miała go czem wyżywić. Dzięki panu otrzymałam lekcje...

— Proszę, proszę! Któż pani powiedział, że to przeze mnie?

— Wszak pan przysyłał adresy?

— Ja? Dalibóg, to wyborne! Pierwszy raz słyszę o czemś podobnem!

Tyle było szczerego zdziwienia w jego głosie, że pani Strzemboszowa z kolei była zdziwiona i zakłopotana. Nie ulegało wątpliwości, że to nie on zajął się wyszukaniem lekcji. Ale w takim razie kto był tym niezwykłym opiekunem?

— Niech-no mi kochana pani opowie wszystko — prosił doktór, zaintrygowany nie na żarty całą sprawą.

— Niema właściwie co opowiadać. Otrzymałam kilka adresów domów, w których potrzeba było lekcji. Parę z nich przyjęłam, co mi pozwala z pomocą mojej dobrej Franciszki, opędzać niezbędne potrzeby...

— Kto przysyłał te adresy?

— Nie wiem. Franciszka oddawała mi je, mówiąc, że pochodzą od doktora.

— Trzeba wybadać Franciszkę!

Ale i ona nie umiała nic powiedzieć: jakiś chłopiec przynosił te adresy, kładł na stół, mówił, że pilne, że trzeba iść zaraz i znikał. Nie umiała też określić, jak wyglądał.

— Tak, jak inni! Zdaje się ciemny!

— To dziwne! Ten ktoś, kto się podszywał pod moją osobę, (zresztą w najlepszej intencji) musi znać dokładnie stosunki domowe!

— Nie mam pojęcia, ktoby to mógł być! Nikt z ludzi obcych nie przychodził mi nigdy z pomocą! Jedna tylko Franciszka ratowała mnie w ciężkich chwilach. Gdyby nie ona, nie wiem, jak przetrwałabym te ciężkie czasy!

— Hm, hm! To tajemnica! Podług mnie należałoby przydybać owego chłopca i wybadać go!

Przywołano znów Franciszkę.

— Gdy przyjdzie kiedy ten chłopiec, niech Franciszka da mi znać. Chciałabym go zobaczyć.

— Dobrze! Ale on już teraz nie przychodzi! — niechętnie odparła staruszka.

Czas jakiś rozmawiał jeszcze doktór z panią Strzemboszową o tajemniczym opiekunie, poczem zapytał:

— Cóż to była za rozmowa z Michasiem, która go tak wzruszyła?

Pani Strzemboszowa opowiedziała smutną historję, której się dzisiaj dowiedziała.

— Tak, domyślałem się tego!

— A ja nie i to mnie bardzo boli! Z oderwanych wyrazów Michasia, rzucanych w gorączce, powzięłam pewne podejrzenia, lecz rozwiał je Witold! Dobry to chłopiec: kłamał, by mi oszczędzić przykrości!

— Tak, kłamał, i przyznać trzeba, że kłamał — świetnie! — zauważył doktór, któremu

nagle stanął przez oczami Zygmunt wówczas, gdy przyszedł do chorego Michasia.

— Ten kłamać nie umiał — pomyślał, ale jednocześnie coś go niemile uderzyło w jego wspomnieniach. Dlaczego Zygmunt był taki przejęty? Co oznaczała jego rozpacz? Dlaczego więcej nie przyszedł?

Wstał nagle i począł się żegnać.

— Mam ważny, bardzo ważny interes do załatwienia! — tłomaczył się, całkowicie już pochłonięty nową myślą.

— Zaniedbałem chłopaka, nie widziałem go tak długo! A tam coś u niego było nie w porządku. Obawiam się, czy życie nie spłatało mu jakiego figla! Chłopak ambitny i dumny, karku nie ugnie, kompromisów nie zna. Niechby pozory były przeciwko niemu, tłómaczyć się nie będzie, lecz pozwoli wkładać na swe barki winy niepopełnione! — rozmyślał doktór, idąc do Zygmunta.

W domu go nie zastał.

— Jego teraz nigdy niema! — narzekała Agnieszka — mało jada, mało śpi. Zżółkł, zmizerniał, schudł. Bogdajby to pan wrócił jak najprędzej! Bo ja tu już nic nie poradzę! Tego nigdy przed tem nie było: włóczy się po całych dniach, pieniędzy ciągle potrzebuje. Raz nawet, nie wiem, co to pan na to powie — sprzedał całą swoją bibljotekę, wszystkie książki!

Doktór Ksawery słuchał z żywem zainteresowaniem.

— To rzeczywiście szczególne — zauważył.

— Chłopiec dotąd, jak złoto, — mówiła rozochocona Agnieszka. — Nigdy nie potrzebowałam się na niego skarżyć. W domu siedział, lekcje odrabiał, przychodzili do niego różni panicze, tacy sami porządni, jak on, i dobrze było! A teraz? Pożal się, Boże! I co na niego napadło?

— A kiedy przychodzi do domu?

— O siódmej, czasem o ósmej wieczorem. Potem do północka albo i dłużej nad książkami ślęczy!

Doktór Ksawery pisał coś pośpiesznie na karteczce.

— Niech Agnieszka mu to odda. I proszę od siebie jeszcze powiedzieć, że bardzobym chciał go widzieć.

— Oj, to, to! Niech mu tam pan doktór dobrze nagada. Pana to on może posłucha. I żeby tak wielmożny pan do naszego pana napisał. Niech przyjeżdża! Któż to widział dzieciaka tak długo samego zostawiać! Toć i najlepszy bez dozoru zepsuć się może — prawiła Agnieszka, rozgadawszy się na dobre, aż doktór, nie słuchając końca, uciekł, przyrzekłszy zrobić, co będzie mógł.

(D. c. n.)

Daj, co możesz!

Jeśli widzisz, jeśli czujesz,
Czego ludziom bliźnim trzeba,
Daj, co możesz, daj z ochotą,
Czy to pieniądz, czy kęs chleba
Tym, co smutni i samotni
Serdecznego nieco ciepła,
By im w chłodzie uczuć, serca
Myśl nie stygła, krew nie krzepła.
Daj współczucia łzę gorącą
Tym, co cierpią ponad siły,
Daj co możesz, daj z ochotą
Choćby uśmiech, słodki, miły.
Temu w pracy dłoń pomocną,
Temu w trosce dobre słowo,
Dziecku piosnkę i pieszczotę.
Ach! służ dłonią, sercem, głową!
Czuj, gdzie komu czego trzeba,
Przyglądaj się ludzkiej doli,
Daj, co możesz daj z ochotą
Wedle siły, chęci, woli.

Helena Bojarska.



MODLISZKA.

EPIZOD Z REWOLUCJI FRANCUSKIEJ.

DOKOŃCZENIE.

Piotr Latreuil patrzył przez chwilę ze zdumieniem na prezydenta i nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

— Więc to o to mnie oskarżają? Co za głupota!

— Więc nie mówiłeś tego?

— Ależ tak, panie prezydencie. Ale nie mówiłem o naszych urządzeniach państwowych,—lecz o królestwie pszczół.

— O królestwie pszczół?

— Naturalnie, opowiadałem jednemu z moich przyjaciół, też przyrodnikowi, to, co zauważyłem w życiu pszczół roboczych i wspominałem, jak ku jesieni, kiedy czas robić zapasy na zimę, pszczoły wymordowują trutni.

— Mogę z własnego doświadczenia stwierdzić fakty, przez pana spostrzeżone—zawołał z poważną miną prezydent. Twierdzenia pańskie zgadzają się na ogół z oskarżeniem, podanem przeciw panu przez chemika Jerzego Darrière; czy on jest pańskim wrogiem?

— Przypuszczam, że powodzenie moje na polu nauki tak go zawistnie dla mnie usposobiło.

— Czy masz pan świadków, którzy słyszeli to, co pan mówił?

— A jakże; słyszał je przyjaciel mój i mistrz, Franciszek Moreau.

— Moreau, autor najdoskonalszego dzieła o owadach?

— Tak, kocham go i szanuję, jak ojca!

— O, w takim razie, sprawa pańska zasługuje, ażeby była ponownie rozpatrzoną. Za prawdziwość świadectwa Franciszka Moreau ja sam przysiądz mogę. Odkładam natychmiast wykonanie pańskiej egzekucji i dziś jeszcze zwrócę się do Komitetu w Paryżu o bliższe objaśnienie wszelkich okoliczności tej sprawy. Ile tylko wpływ mój osiągnąć będzie w stanie, uczynię wszystko, aby cię uratować. Tymczasem udzielam panu wszelkich możliwych swobód. Patrz pan znów z odwagą w przyszłość. Niestety, czas nie pozwala mi korzystać dłużej z pańskiego towarzystwa, ale, o ile będę mógł, nie zaniedbam jak najczęściej go odwiedzać.

Minęło trzy tygodnie, dnie wlokły się nieskończenie; zawieszony między rozpaczą a nadzieją wychylał młody uczony powoli swój kielich goryczy.

Znów siedział przy stole i marząc, patrzał przed siebie; wyciągnął, jak to teraz często czynił, ów list z pożegnaniem do

swoich ukochanych, ażeby, czytając go, odzyskać ten zrezygnowany spokój, jaki ogarnął jego duszę przy pisaniu tych słów.

Wtem klucz w zamku przekręcono i wszedł pan prezydent.

— Kochany Latreuil – zawołał wesoło— przynoszę dobrą nowinę. Komitet paryski przejrzał raz jeszcze pańską sprawę i wyrok poprzedni unieważnił: jesteś wolny!

— Wolny!? — zawołał z wybuchem radości przyrodnik, chcąc się rzucić w objęcia przezydenta.

— Tak, tak — odpowiedział tenże z niewzruszoną powagą — wiadomość tę otrzymałem przez szczególnego posłańca.

— Któż to taki?

Prezydent otworzył drzwi i zawołał:

— Oto ten, który tu stoi.

— Gabryjelo! — zawołał Piotr, niedowierzając swoim oczom.

— Tak, to ja! — odpowiedziała, śmiejąc się, młoda dziewczyna.

Kiedy pierwsze wybuchy radości uspokoiły się nieco, pan prezydent zaprosił młodą parę do swego mieszkania, gdzie oczekiwał ich Franciszek Moreau. Nazajutrz udali się wszyscy w drogę do Paryża a w rok później zaślubił Piotr swoją narzeczoną.

Jerzy Derriére otrzymał należną mu zapłatę: wraz z upadkiem Robespierre'a, poniósł śmierć na szafocie.

Piotr Andrzej Latreuil został jednym z najwybitniejszych przyrodników francuskich, członkiem Akademji Nauk i w późnej już starości zmarł w r. 1833.

E. H.

Sprzedaż kwiatka.

W niedzielę dn. 29 Czerwca na ulicach Warszawy oraz okolicach podmiejskich sprzedawany będzie kwiatek (różowa pelargonja) na korzyść przytulisk Niedoli Dziecięcej, towarzystwa, do którego należy również ochrona „Mojego Pisemka". Od powodzenia Kwiatka zależeć będzie wielkość zasiłku, jaki otrzyma nasza ochrona, jako przypadającą dla niej część ogólnego dochodu. Sądzimy, że czytelniczki i czytelnicy „Naszego Świata", którzy dawniej czytywali „Moje Pisemko" gorąco popierać będą różowy kwiatek, którego celem jest ulżenie niedoli dziecięcej, i nie będą szczędzić swych datków.

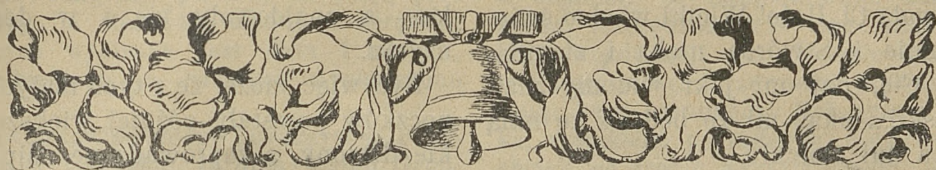
Przyszły numer „Mojego Pisemka" będzie poświęcony działalności Tow. przytulisk Niedoli Dziecięcej i będzie sprzedawany na ulicach Warszawy.

W sprzedaży kwiatka bierze udział i redaktorka, która będzie od godz. 10 do 4 po poł na posterunku, obejmującym plac Warecki, ul. Warecką i Mazowiecką.

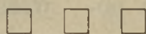
Zakończenie roku szkolnego w ochronie „Mojego Pisemka".

Doroczna ta uroczystość odbędzie się w Sobotę dn. 28 Czerwca o godz. 1-ej w poł. w ochronie przy ul. Czerniakowskiej 93. Czytelniczki i czytelnicy „Naszego Świata" interesujący się wychowańcami naszej ochrony, proszeni są o jaknajliczniejsze stawienie się w oznaczony dzień dla wzięcia udziału w naszej uroczystości.





DZWONY.



Jak utrzymują niektórzy archeologowie, istnienie dzwonu sięga bardzo dawnych czasów; dzwon znany był starożytnym narodom, nie był jednak ani tak udoskonalony, ani tak uświęcony, jak u chrześcijan: ci dopiero uczynili go nieśmiertelnym.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nie dzwony wzywały na wspólną modlitwę; chrześcijanie, bojąc się prześladowań ze strony pogan i żydów, i ukrywając się w podziemiach i katakumbach, nie mogli byli używać dzwonów, gdyż te zdradziłyby ich; radzono więc sobie inaczej, a mianowicie w ten sposób, iż kobiety-djakonki chodziły wśród wiernych i oznajmiały o mających się odbywać nabożeństwach.

Kobiety mniej były znane, mniej wogóle zwracano na nie uwagi, łatwiej im było uniknąć podejrzenia nieprzyjaznych pogan i dlatego to im tę czynność powierzano.

Później w zgromadzeniach klasztornych inny wprowadzono zwyczaj: zakonnicy wzywali się na wspólne modlitwy i nabożeństwa, trąbiąc lub uderzając młotkiem w deszczułkę, a były młotki dwojakie: żelazne i drewniane, oznaczony był też sposób uderzania i wydobywania wyższych i niższych tonów. Były to więc znaki, zastępujące późniejszy dzwon i dlatego zapewne dzwon w języku kościelnym nazywa się „znakiem kościelnym” (signum ecclesiae).

W żeńskich klasztorach, jak naprzykład w Betleem i w Jerozolimie o wspólnych nabożeństwach głosiła zakonnica, chodząc i śpiewając: „Alleluja”!

O początku wprowadzenia dzwonów różne są podania i legendy.

Kardynał Piotr Damiani dowodzi, że dzwony wzięły początek od dwóch srebrnych trąb, które Jehowa kazał zrobić Mojżeszowi dla ogłaszania ludowi, kiedy ma się zbierać na jaką uroczystość, odprawianie i składanie ofiar, wreszcie kiedy ma się przenosić na inne miejsce.

To wywodzenie Damianiego jest podług niektórych pisarzy bardzo nieprawdopodobne, ale opiera się, jak inni znów mówią, na dawnych księgach hebrajskich, w których jest mowa o owych trąbach Starego Testamentu, zakończonych na podobieństwo dzwonów.

Istnieje też o powstaniu dzwonów następująca poetyczna legenda:

Słońce zachodziło purpurą, żegnając ostatniemi promieniami swemi zadumane drzewa, wonne leśne zioła i kwiaty; błoga cisza panowała dokoła, a powietrze, nasycone balsamiczną wonią, dostrajało się do uroczystej wieczornej chwili.

Leśną ścieżynką szedł zakonnik w bia-

łym habicie; był to święty Paulin, biskup z miasteczka Noli w Kampanii. Pod wpływem uroku otaczającej go natury padł na kolana i złożywszy ręce, zawołał:

— Chwała Ci, Boże! Wielki władco świata!... Panie i Stwórco nieba i ziemi!... błagam Cię, daj mi jaki widomy znak Twej łaski!... okaż mi, że będzisz ze mną do końca dni moich!

I zatopił się w gorącej, pełnej uniesienia modlitwie.

Wtem rozległ się cichy, miły dźwięk, a leśne niebieskie dzwoneczki, poruszane powiewem łagodnego wietrzyka, pochylały swe śliczne główki, jakby w kornym pokłonie.

Pobożny starzec patrzył i słuchał w niemym zachwycie, a potem znów przesłał Stwórcy modlitwę, pełną dziękczynienia i pokory.

Na pamiątkę tej błogosławionej chwili, spędzonej na leśnej polance, świętobliwy biskup kazał odlać z metalu ogromny dźwon, t. j. przedmiot podobny kształtem do korony dzwonka—kwiatka, a wydający dzwięk przez uderzenie żelaznem sercem, zawieszonem wewnątrz. Dzwon ten, budzący ogólny podziw, zawieszono w świątyni w Noli, aby głosem jego wzywać wiernych na modlitwę.

Był to więc, podług tej legendy, pierwszy duży dzwon kościelny, ulany w 394 r. Wogóle jednak wejście w użycie dzwonów datuje się od VI w. Dzwony otrzymały też wówczas nazwę od włoskiej prowincji Kampanji i od miasta Noli i tak wielki dzwon nazywał się w średniowiecznej łacinie „campana”, mały „nola”.

Małe dzwonki i dzwoneczki znane były wcześniej, można poniekąd uważać je za prototyp późniejszego dużego dzwonu. Takie małe dzwoneczki u Rzymian, naprzykład, były urzędowym znakiem otwarcia łaźni; były też stosowane i do innych celów, a znajdowały się i w domowem użyciu.

Być więc może, że z tych małych dzwoneczków powstały później większe i wielkie dzwony, a zaprowadzone najpierw po klasztorach, dostały się później do kościołów większych miast, a następnie do mniejszych, wreszcie i do wiejskich kościołków, a nawet przy tych ostatnich były potrzebniejsze, bo należało zwoływać wiernych na nabożeństwa z dalszych miejscowości, a głos dzwonu był do tego najodpowiedniejszy.

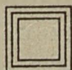
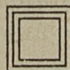
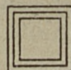
Wzmianki o istnieniu w dawnych czasach mniejszych i większych dzwonków znajdują się u różnych autorów, a mówią też o tem i podania ustne.

Gdy święty Benedykt, żyjący w V wieku, zmuszony był ukrywać się przez pewien czas w niedostępnym jarze, wówczas jeden wierny mu Rzymianin spuszczał tam koszyk z jedzeniem, a chcąc mu o tem w danej chwili dać znać, przywiązywał do sznurka dzwonek. Być więc może, iż i większe dzwony były tam już znane.

Gdy biskupowi reńskiemu zabrano w 700-ym roku dwa dzwony i zawieziono je do Gaskonji, tenże znalazł sposób, ażeby je znów sprowadzić; z tej wzmianki wnosimy, że w owym czasie były już w użyciu duże dzwony w różnych miejscowościach.

Później co raz częściej jest mowa o dzwonach. Rozpowszechniały się one po różnych krajach; w Anglji, w Niemczech, w Hiszpanji mówią o nich oddawna.

(D. c. n.)

Podróż jaskółki.

Czytelnicy nasi wiedzą już zapewne, że przyrodnicy w celu zbadania ciekawego zagadnienia emigracji ptaków, chwytają je i nakładają im na nóżki metalowe obrączki, na których wypisana jest data i miejsce, gdzie schwytano, a następnie wypuszczono ptaka.

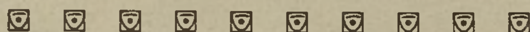
Niedawno zawiadomiono Towarzystwo Przyrodnicze w Londynie, że dnia 23-go Grudnia w Utrecht (w południowej Afryce), schwytano jaskółkę, która na nóżce miała pierścionek z następującym napisem: Witherby. Holborn 830, Londyn.

Towarzystwo natychmiast odszukało pana Witherby, który wyjaśnił, że rzeczywiście dnia 6-go Maja 1911 r. złapał w południowej Anglji jaskółkę, której włożył obrączkę z powyższym napisem i następnie ptaka puścił na wolność.

Wynika więc z tego, że ta mała ptaszyna przeleciała pół Europy, morze Śródziemne i całą długość Afryki. Czy to nie nadzwyczajne? I czy nie godnym podziwu jest instynkt tych ptasząt, który pozwala im co roku odnajdywać drogę na tej olbrzymiej przestrzeni?

Testament aresztanta.

Pewien więzień, umierając na suchoty w więzieniu w Stanisławowie, zapisał sto koron, oszczędzonych w ciągu kilku lat swej kary więziennej na „Polskie gimnazjum" w Czerniowcach, rzewnemi słowami motywując swój testament. Był synem urzędnika, dzieckiem porządnych rodziców, którzy chcieli go zrobić wykształconym, poważnym człowiekiem. Posyłano go do szkół ludowych polskich, uczył się, chciał iść do gimnazjum. Gimnazjum polskiego jednak nie było, były gimnazja niemieckie i do tych go oddano. To też, na równej dotąd drodze życia, potknął się po raz pierwszy o fatalną zawadę, o niemiecki język wykładowy. Chłopiec nie mógł rozumieć i nie rozumiał nauki w języku niemieckim — jak sam mówi o sobie w testamencie — i następstwem tego było naprzód opuszczenie szkoły, a potem wykolejenie! Oto młody chłopiec począł spadać po pochyłości życia, aż wreszcie, oskarżony o ciężką zbrodnię, został skazany na kilka lat więzienia. Tam ciułał grosz do grosza, aby je ofiarować na szkołę polską.



„O własnych siłach".

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez „Białego Orlika".

—o—

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko bohatera polskiego.

Sylaby: al, bien, burg, ba, cja, ci, cin, cic, du, dje, den, e, for, in, ka, ka, kom, kmi, li, la, li, la, me, moj, na, nja, nja, na, ol, or, sa, ran, ro, s, szwe, ski, lik, sy, ti, te, u, up, us, wa, ze, za.

Znaczenie wyrazów:

1. Postać z „Pana Tadeusza".
2. Państwo na Bałkanach.
3. Miejsce zwycięstwa Polaków.
4. Postać biblijna.
5. Miasto w Szwecji.
6. Państwo, w którym najmniej jest analfabetów.
7. Kanclerz Polski.
8. Półwysep w Ameryce.
9. Kwiat.
10. Spółgłoska.
11. Miasto w Ameryce.
12. Kraj pod protektoratem Anglji.
13. Planeta.
14. Poeta polski.
15. Bóg grecki.
16. Postać z trylogji Sienkiewicza.
17. Księstwo w Niemczech.

LOGOGRYF

ułożony przez „Mistrza Twardowskiego na kogucie".

—o—

Krzyżyki i kreski zastąpić literami Litery oznaczone krzyżykami, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko nieżyjącego słynnego awiatora francuskiego.

Sylaby: bra, da, ny, ma, strja, di, dan, m, sto, zie, h, buk, hor. bem, że, mah, lo, bra, au.

```
            +
        —   +   —
    —   —   +   —   —
        —   +   —
    —   —   +   —   —
—   —   —   +   —   —   —
—   —   —   +   —   —   —
    —   —   +   —   —
        —   +   —
    —   —   +   —   —
        —   +   —
            +
```

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Drzewo.
3. Zwierzę afrykańskie.
4. Generał polski.
5. Dziki tłum.
6. Państwo w Europie.
7. Kolor.
8. Wejście.
9. Liczba.
10. Prorok mahometański.
11. Rzeka w Polsce.
12. Spółgłoska.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 20.

1. Zuzanna
2. Yard
3. Grzymisława
4. Mukden
5. Ural
6. Narew
7. Tanganika
8. Karaś
9. Róża
10. Achmat
11. Sanskrycki
12. Issahar
13. Ń
14. Sekwana
15. Kopiejka
16. Irys

Zygmunt Krasiński.

Rozwiązanie arytmografu z Nr. 20.

1. Gauryzankar
2. Ramzes
3. Erzerum
4. Bałucki
5. Narew
6. Elegja
7. Tyfon
8. Umowa
9. Grecja
10. N mezys
11. Aniela
12. Jawa

Jan Gutenberg.

Do numeru dzisiejszego (25) dołącza się bezpłatny dodatek książkowy p. t. **„Córka wodza"** tom 2-gi za miesiąc Maj.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

	w Warszawie	z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1 —	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.
Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Jan Powalski. W grodzie żaków (ciąg dalszy z rys.) . . 385
Purpurowe płomienie, opowiadanie prawdziwe, przez J. P. (ciąg dalszy, z rys.) 388
Marja Buyno. Koledzy (ciąg dalszy) 392
Daj, co możesz, wiersz, przez Helenę Bojarską 394
Modliszka, epizod z rewolucji francuskiej, dokończenie . . 395
Sprzedaż kwiatka 386
Zakończenie roku szkolnego 396
Dzwony 397
„O własnych siłach": Łamigłówki 399

Redaktor i wydawca: **Marja Buyno-Arctowa.** DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3